

Powiedzenie „wieś zabita dechami” straciło sens. Dziś możesz mieszkać na zabitej dechami irlandzkiej czy indyjskiej wsi i pracować w Ameryce. Właśnie przeczytałem opowieść młodej Amerykanki, która pisze o swoich 160 godzinach pracy w 9 miastach, w hotelach, w pociągach i na plaży. [Virag Gulyas](#) przedstawia się jako cyfrowy nomad. Wszystko czego potrzebuje do pracy to połączenie WI-FI, trochę miejsca na własny bałagan, spokój (ale bez przesady), no i oczywiście ochota do pracy, co zazwyczaj jest najbardziej kłopotliwym warunkiem.



Oczywiście problemy są zawsze. Autorka pisze, że kiedyś miała pałący termin, a jej połączenie z Internetem było tak słabe, że musiała zastukać do sąsiadów i zamiast tradycyjnie poprosić o szklanek cukru, poprosić o możliwość skorzystania z ich Wi-Fi. Życie z biurem w torbie może być chwilami uciążliwe, szczególnie jeśli przenosisz się z miejsca na miejsce co kilka dni. [Virag Gulyas](#) pisze, że może to wymagać szczególnych cech charakteru, ale życie bez szefa na karku ma swoje wspaniałe strony. Co więcej, praca na odległość będzie coraz bardziej powszechna.

Dopiero co czytałem [artykuł młodego Francuza](#), którego ojciec posłał na kosztowne studia informatyczne w Stanach

Zjednoczonych. Po roku zrezygnował. Doszedł do wniosku, że w jego zawodzie liczą się umiejętności, a nie dyplom. Na uczelni szybko zauważył, że podczas wykładów studenci bawią się laptopami, albo grają w szachy, nie zwracając uwagi na wykładowcę. Tajemnica polegała na tym, że te same wykłady, zazwyczaj znacznie staranniej opracowane, znajdują się w Internecie na YouTube, więc łatwiej uczyć się z filmów niż z wykładu na żywo. Młody człowiek doszedł do wniosku, że może zrobić te same studia, nie narażając rodziców na koszty. Nauka przez Internet staje się coraz bardziej popularna i na zabitej dechami wsi można się uczyć na najlepszych uniwersytetach świata za znacznie mniejsze pieniądze.

Liczba chętnych ograniczona, aby ją zwiększyć konieczna jest praca od podstaw. Tymczasem jednak Internet służy nam do zdobywania wiadomości, do zakupów i pozwala nam na bogate życie zewnętrzne. To ostatnie uprawiamy za pomocą mediów społecznościowych. Dzięki tym mediom coraz więcej ludzi ma bogatsze życie zewnętrzne niż wewnętrzne, a przecież i drzewiej z tym życiem wewnętrznym nie było najlepiej.

W Stambule, w ubiegłym roku grupa artystów zorganizowała wystawę pod tytułem [Sociomania](#). Termin „media społecznościowe” wszedł do obiegu w 2004 roku, a samo zjawisko spowodowało osobliwą rewolucję kulturalną. Nareszcie każdy może być twórcą. Media społecznościowe działają trochę jak narkotyki, dostarczając przyjemności i uzależniając. Umożliwiają kontakty, uczenie się, informowanie o własnych poglądach, dają poczucie kształtowania opinii innych. Z telefonem przyrośniętym do dłoni ludzie starają się udokumentować każdy moment swojego życia wpadając w orgiastyczny narcyzm. Tureccy artyści starali się pokazać różne twarze tego zjawiska, zarówno piękne, jak i te banalne i te straszne.

*„Największy problem z tymi mediami społecznościowymi – że reprezentują one świat w którym żyjemy pozbawiony mądrości i*

*ciągle zalewany informacją.”*

Jedną z instalacji na tej wystawie to „Szafa rozkoszy”, w której na wzór medykamentów artysta umieścił słoiczki z napisami: „Skype – zadzwoń do twojej byłej dziewczyny”, „Facebook, skontaktuj się z kimś bez powodu” itp., itd.

Turecki artysta wyjaśnia, że te różne media społecznościowe są rzeczywiście jak środki medyczne, mają również informacje o producencie, zawierają instrukcje zachęcające do zwiększania dawek.

W rzeczywistości ten narkotyk oddala nas od kultury, od książek, wzmacnia teorie spiskowe, karmi pseudonauką, wzmacnia religijny fanatyzm, popycha do ekstremizmu. Zamiast oryginału zadawałamy się namiastką i zmieniamy się w podglądaczy. Lajkujemy i walczymy o lajki, co siłą rzeczy popycha nas do homogenicznego getta wzmacniającego środowiskowe narracje.

Oglądanie tej rewolucji kulturalnej z Turcji może dawać jeszcze silniejszy efekt niż w Polsce, w Europie Zachodniej czy w Ameryce. Ta rewolucja ma miejsce wszędzie i podczas gdy kulturalna dyskusja, sztuka, nauka i edukacja zamykają się w większych lub mniejszych niszach, uciekając przed irracjonalną wrzawą, wandalami i maniakami, jarmark nienawiści rozrasta się do monstrualnych rozmiarów.

Na olimpijskim podium Internetu znalazł się Felix Arvid Ulf Kjellberg, młody Szwed, którego filmy zamieszczane na YouTube mają już 76 milionów subskrybentów i ponad 20 miliardów oglądań. Jego publiczność to głównie nastolatki zachwycone filmami o grach komputerowych, o internetowych memach, tańcami i śpiewami „Śmierć Żydom” i rzymskimi salutami.

Internet jest najbardziej demokratycznym medium. To świat, w którym wszyscy są równi, gdzie każdy może powiedzieć, co myśli.

Oczywiście media społecznościowe mają swoje regulaminy, standardy i walczą z mową nienawiści. Regulaminy są jednak jak słup telegraficzny, przeskoczyć reguł nie można, ale zawsze można je jakoś obejść. Programy szwedzkiego youtubera określane są jako „satyryczne” i jak dotąd „jakoś” przechodzą przez „ścisłą kontrolę”.

PewDiePie, bo takiego Kjellberg używa pseudonimu, udaje się skutecznie nazwać żartami wściekle antysemickie występy, chociaż magnesem dla milionów nastolatków jest sączona czysto faszystowska ideologia.

„Time” zaliczył szwedzkiego youtubera do pierwszej setki najbardziej wpływowych ludzi na świecie. Internet jest potęgą, to wspaniałe narzędzie. Radio było równie wspaniałą potęgą w latach 30. ubiegłego stulecia. Ludzie łatwo wpadają w sieć.



PewDiePie w akcji.

[Artykuł pochodzi z portalu Listy z naszego sadu](#)